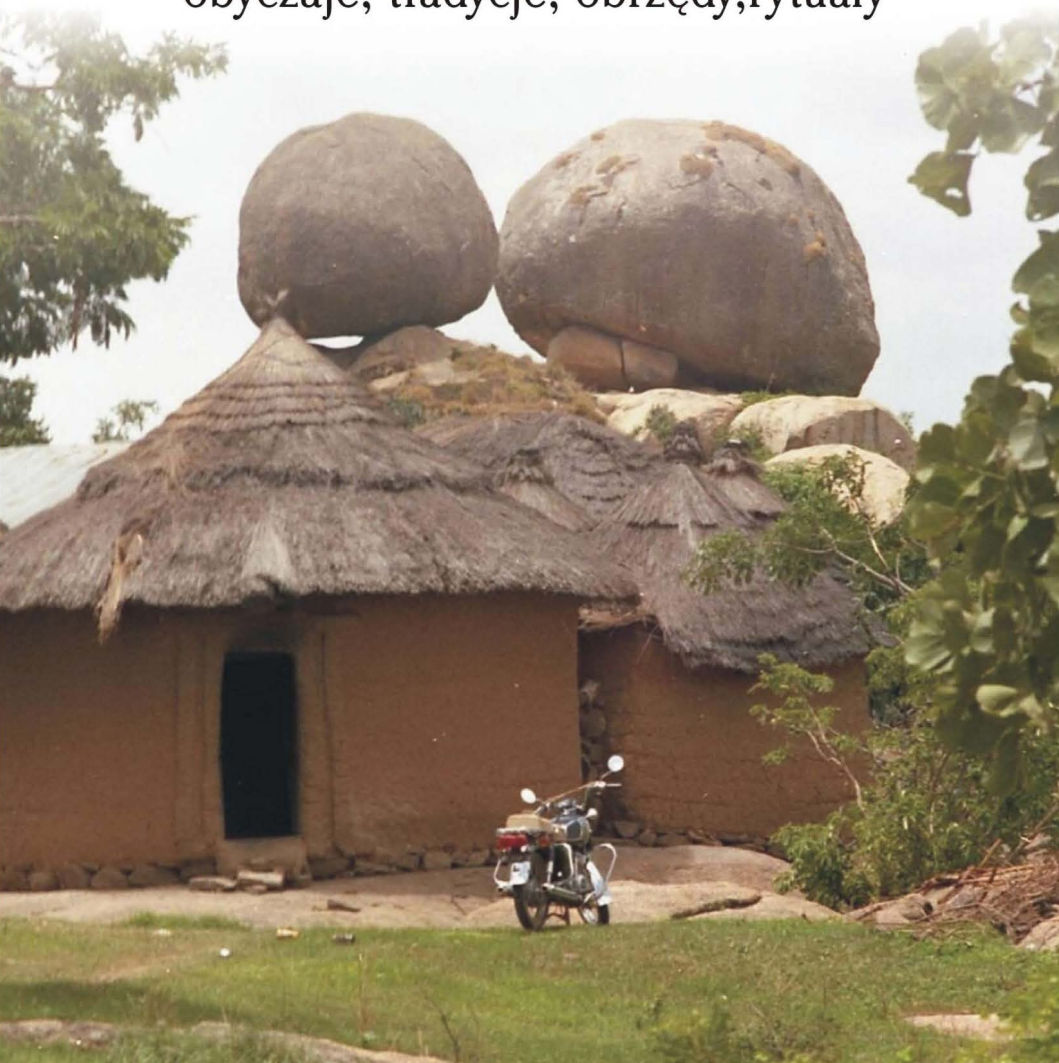


Jadwiga Wojtczak-Jarosz

Kobiety Afryki

obyczaje, tradycje, obrzędy, rytuały



Jadwiga Wojtczak-Jarosz

„Kobiety Afryki – obyczaje, tradycje, obrzędy, rytuały”

Copyright © by Jadwiga Wojtczak-Jarosz, 2014

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o. 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski

Korekta: Paulina Jóźwiak

Projekt okładki: Jadwiga Wojtczak-Jarosz, Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcie na okładce: z albumu Jadwigi Wojtczak-Jarosz

ISBN: 978-83-7900-268-9

Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o.

ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

*Książkę tę dedykuję Kobietom Afryki.
Dzięki otwartości i zaufaniu tych, które
miałam okazję na swej drodze spotkać, mogłam
ją napisać w takim kształcie i formie.
Wśród nich były także moje Studentki
Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Jos,
dla których - mimo upływu czasu - zachowałam
szczególne miejsce w mojej pamięci i sercu.*

JWJ

SPIS TREŚCI

Słowo od autora	6
Prolog	10
Rozdział 1	17
<i>Pierwsze wrażenia</i>	
Rozdział 2	26
<i>Zupełnie inny świat</i>	
Rozdział 3	36
<i>Madame Kayo</i>	
Rozdział 4	46
<i>Ulica</i>	
Rozdział 5	61
<i>Przemarsz wojsk radzieckich</i>	
Rozdział 6	68
<i>U dentysty</i>	
Rozdział 7	76
<i>Król jest dzisiaj naszym gościem</i>	
Rozdział 8	81
<i>Biała kapłanka czarnej magii</i>	
Rozdział 9	91
<i>Wojna Biafrańska</i>	
Rozdział 10	99
<i>Krowa</i>	

Rozdział 11.	105
<i>Lincz</i>	
Rozdział 12	112
<i>„Duch” i „dusza” to nie takie same byty</i>	
Rozdział 13.	123
<i>Święty Gaj</i>	
Rozdział 14	136
<i>Uniwersytet</i>	
Rozdział 15.	142
<i>Na tym się nigdzie nie zajędzie</i>	
Rozdział 16	154
<i>Piętaszek</i>	
Rozdział 17.	161
<i>Yaro też człowiek</i>	
Rozdział 18	167
<i>Kozy</i>	
Rozdział 19	174
<i>Polowanie na szczura</i>	
Rozdział 20	177
<i>Zaczęły się egzaminy</i>	
Rozdział 21	186
<i>Prof., ktoś do pana</i>	

SŁOWO OD AUTORA

Książka jest opowieścią fabularną opartą na prawdziwych wydarzeniach. Nie jest to jednak autobiografia w znaczeniu ogólnie przyjętym. Załączone zdjęcia odtwarzają towarzyszące wydarzeniom obrazy. Występujących w książce osób nie należy kojarzyć z rzeczywistymi postaciami, aczkolwiek każdy z bohaterów posiada swój pierwowzór. Nie ujawniając dalszych szczegółów warsztatu pracy, chciałabym jedynie dodać, że do tłumaczenia języka Hausa, jakim posługiwał się jeden z bohaterów powieści, używałam wszelkich dostępnych mi wówczas słowników. Przepraszam znawców tego języka, jeśli mimo tego mój przekład okaże się niedokładny.

W książce spotykamy również autentyczne postacie ze świata sztuki, literatury i medycyny, które przeszły do historii Czarnego Łądu. Czytelnik szerzej zainteresowany Afryką – obyczajami, religią, zagrożeniami, a także historią – może znaleźć dodatkowe informacje w odnośnikach.

Mamy koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia i jesteśmy w Nigerii, w kraju, który nie tak dawno uwolnił się od kolonializmu, a już zdążył pograć się w krwawej wojnie domowej (wojna Biafrańska). Mało wnikliwy obserwator nie zauważa śladów tej wojny; przedstawiciele skłóconych plemion mijają się na ulicach, handlują, stojąc obok siebie na zatłoczonych targowiskach, pracują razem w bankach, na uniwersytetach, lotniskach... Ta powierzchowna harmonia pomaga nam przenieść się w tajemniczy świat magii, pogańskich wierzeń, niezrozumiałych dla nas obrzędów i tradycji oraz wspaniałej

przyrody. Nie zdajemy sobie sprawy, że pod powłoką tej harmonii i barwnej egzotyki, głęboko ukryte pozostają przemiany zachodzące w świadomości ludzi Afryki, spowodowane tak gwałtownym i w tak wielkich na raz rozmiarach napływem „nowego” pod postacią tego, co nazywamy zachodnią cywilizacją. Jak to „nowe”, w zderzeniu ze „starym”, zmienia pojmowanie świata przez człowieka wyrosłego w plemiennej wierze i tradycji, interesowało mnie nie mniej niż praca zawodowa na uniwersytecie. Analiza tych procesów bynajmniej nie była łatwa. Sytuacje, z jakimi się spotykałam, starałam się możliwie wiernie w książce przedstawić, na tyle wnikliwie, na ile sama byłam w stanie je objąć.

W Polsce w tym czasie panuje jeszcze tzw. komuna i niedługo nastąpi jej okres schyłkowy: „w sklepach tylko ocet na półkach” – pisze mi niebawem syn w liście przesłanym „przez grzeczność”. Poczta praktycznie nie dochodzi. Telefon na Uniwersytecie w Nigerii działał tylko wyjątkowo. W ramach handlu zagranicznego wyjeżdżali z Polski do tzw. Krajów Trzeciego Świata, w tym także do Afryki, specjaliści z różnych dziedzin, przede wszystkim pracownicy instytutów naukowych i uniwersytetów, zasilając swoją kadrą powstające uczelnie, instytuty techniczne i naukowe. O takiej właśnie grupie osób mowa jest w książce. Indywidualne motywy inspirujące do wyjazdów były rozmaite, poczynając od względów finansowych, poprzez rodzinne, przygodowe, podróżnicze, naukowe, kolekcjonerskie i polityczne. Przyczyny, które złożyły się na wyjazd do Afryki głównego bohatera książki były przedmiotem osobnego opracowania, którego podsumowanie w dużym skrócie przedstawiono w „Prologu” (Część I).

Okres mojej pracy w Afryce przypadł na początek gwałtownego rozprzestrzeniania się zakażeń HIV¹, nieznanej wówczas jeszcze choroby. Obserwując (Część II) przypadki „dziwnej choroby” nie przypuszczałam, że przynajmniej część z nich mogła być zwiastunem nowej, nieznanej dotąd wielkiej plagi ludzkości, której medycyna nie była w stanie jeszcze zdiagnozować, a której potem nadano nazwę AIDS².

Wątek feministyczny przewija się przez całą zawartość książki, nie pomijając patologii kulturowo-obyczajowej w postaci trwałego, umyślnego i brzemiennego w skutkach okaleczania kobiet. Sprawa ta dyskutowana jest od lat na międzynarodowych forach (ONZ, UNICEF, WHO, Amnesty International), włącznie z ponawianiem Apelu do międzynarodowej społeczności o pomoc w walce z „odrażającym procederem kobiecego obrzezania” określonego (Pekińska Deklaracja ONZ, 1995), jako „odarcie z kobiecości”. Mimo międzynarodowych wysiłków, zakres tego zjawiska zwiększa się, a nie maleje, zarówno pod względem terytorialnym (występuje obecnie niemal na wszystkich kontynentach świata), jak i liczbowym. Według statystyk ONZ, w ostatnich latach, co najmniej 2 miliony dziewczynek rocznie pada ofiarą tego procederu, zaś na świecie żyje obecnie ponad 140 milionów kobiet w ten sposób trwale okaleczonych, co stanowiło dodatkowy motyw do uwzględnienia tego tematu w książce.

1 Human immunodeficiency virus (HIV) – ludzki wirus niedoboru immunologicznego.

2 Acquired immune deficiency syndrome (AIDS) – syndrom nabytego immunologicznego deficytu.

Część pierwsza

SPOTKANIE Z AFRYKĄ

Amoke

Prolog

Wracając ze spotkania, kiedy to bez większego namysłu wyraził zgodę na wyjazd do Afryki, Feliks poczuł się wygnańcem, emigrantem politycznym, mimo że z kraju przecież nie uciekał, ani nikt go do tego wyjazdu nie zmuszał. Nie było formalnej presji, nawet namawiania nie było, a jednak... Jeśli chciał utrzymać swoją aktywność zawodową, nie miał innego wyjścia. A przyczyny polityczne były oczywiste³.

Kilka dni później podpisał dwuletni kontrakt z jednym z nigeryjskich uniwersytetów⁴. Zawiadomiono go niebawem, że na okres zatrudnienia w Afryce otrzyma w Polsce urlop bezpłatny.

– A ciągłość pracy? – zapytała zawsze rzeczowa żona. – Co z ciągłością pracy? Rozmawialiście o tym? Czy oni wliczą ci to do emerytury?

– No... zapewne. Przecież będę musiał im co miesiąc oddać nielichy haracz... znaczy, podatek. Nic nie ma za darmo.

3 Barwne koleje losu głównego bohatera przed przybyciem do Afryki przedstawiono w książce pt. „Felo czyli Emigrant Polityczny”, drukowanej w odcinkach w prasie polonijnej w Kanadzie (1983–1984, „Głos Polski”).

4 Wysyłaniem polskich specjalistów do krajów Trzeciego Świata zajmowało się Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego *Polserwis* wspólnie z Departamentem Współpracy z Zagranicą.

– Ale mogą cię po powrocie z tej Afryki wykołować i powiedzieć, że byłeś przecież na bezpłatnym urlopie. W razie znów coś przeskrobiesz, do emerytury ci tego nie wliczą. Ten Polserwis to takie zakamuflowane biuro handlu żywym towarem.

– Można by i tak powiedzieć – zgodził się.

Na słowa wymówki co do „przeskrobania” nie zareagował. Tę sprawę uważał za zamkniętą. Poza tym, Dzidzi po tym wszystkim nie należało denerwować. Miał wprawdzie kiedyś nadzieję, że Partia wynagrodzi go za zasługi jakąś intratną posiadką w którymś z krajów Trzeciego Świata, ale ostatecznie na jedno wychodziło. Nie miał w zwyczaju roztkliwiać się nad sobą. Twarde traktowanie samego siebie wyniósł z domu. Był od pokoleń pierwszym w swojej rodzinie, który oderwał się od tradycji bycia górnikiem.

– Tylko, że nikt nie nazwie tego po imieniu – utyskiwała dalej żona. – Handlują wysokiej klasy specjalistami i czerpią z tego nie lada zyski.

– No właśnie... – przytaknął. Dyskusja do niczego nie prowadziła.

– A gazety o naszym wkładzie do budżetu państwa milczą!

Dzidzia należała do tego rodzaju żon, które o działalności mężów mówią zawsze w pierwszej osobie liczby mnogiej i podpowiadają, kiedy ci rozmawiają przez telefon. Nie przeszkadzało mu to. No... może czasami nieco krępowało.

– Zwykły człowiek po prostu o tym nie wie – nie przestawała narzekać. – Sprzedają nas za dolary, jak węgiel lub statki. My się będziemy męczyć, a oni będą nabijać sobie kieszenie. Przynajmniej nie dajmy się sprzedać za bezdurno.

– Czasami zapominasz, że ktoś nas może słyszeć.

– Każdy tak o nich mówi – upierała się.
– Każdy nie partyjny – poprawił.
– Partyjny też, gdy sobie podpije, albo ma do kogoś zaufanie.
– To znaczy, że ty masz do mnie zaufanie, bo nie zauważyłem, abyś piła.

– No, nareszcie odzyskujesz swój zwykły humor. A co do zarobków w tej Afryce, to zauważ, że dolar idzie w górę.

– Raczej złotówka idzie w dół.

– Stale mnie poprawiasz. Na jedno wychodzi. Twoja miesięczna pensja w tej Afryce, licząc po czarnorynkowym kursie, będzie w Polsce stokroć więcej warta, niż byś wyciągnął tutaj.

– To oczywiste – przerwał jej. Nie chciał usłyszeć tego, czego się spodziewał, że powie.

– A jednak dokończyła:

– Teraz, gdy już nie jesteś prorektorem z ramienia Partii, wyciągnąłbyś zaledwie tyle, że z trudem starczyłoby na życie. Umarłabym na zawał albo coś takiego, gdybyś któregoś miesiąca nie wysłał do banku. Pamiętaj.

Pamiętał przede wszystkim o instrukcjach kardiologa, żeby jej nie denerwować: samemu zachować spokój i być tolerancyjnym. Dzisiaj po „tym wszystkim”, jak oboje to nazywali, przeszła zawał. Ale teraz chodziło o pieniądze, rzecz ważna. Zaplanowali, że Dzisiaj przyjedzie do Nigerii jakiś czas po nim, gdy już się zorientują, co najbardziej opłaca się zabrać z Polski.

– Najważniejsze, że możemy tam dużo zarobić – mówiła, skrupulatnie obliczając dochody i krzywiąc się niemiłosiernie przy odejmowaniu „haraczy” w postaci podatku i składek partyjnych.

– A wiesz – ożywiła się niespodzianie – przyjaciele dzwonią i pytają, kiedy będzie można znów wpaść na herbatkę.

– O nie, moja droga! Żadnych przyjęć – zachnął się, zapominając o instrukcjach kardiologa. – Pokaż mi swoich przyjaciół, a powiem ci, kim jesteś, mówi stare przysłowie. Oni nie są moimi przyjaciółmi. Nikt za mną nie stanął, gdy tego potrzebowałem... No, prawie nikt. Urządź sobie przyjęcia po moim wyjeździe.

– Trudno. Zmieniłeś się przez to wszystko. A nawet doktor mówił, że trochę rozrywki bardzo by ci się przydało.

Skrzywił się. Ładna rozrywka! Przypominać sobie, jak inni przechodzą obojętnie, gdy ja stoję nad stertą książek i sponiewieranych odbitek własnych publikacji.

„Tym wszystkim” były ostatnie miesiące. Dawniej, gdy był prorektorem z ramienia partii (nigdy nie omieszkął dodać tego określenia), stosunki w domu układały się wprost idealnie. Ale nagły, zaś dla Dżidzi w dodatku zupełnie nieoczekiwany – bo miała rację, że w pewnym momencie przestał ją informować – spadek z zawodowych i partyjnych wyżyn na samo niemal dno stał się tragedią większą niż dla niego, jeśli za miernik przyjęć stan ukrwienia mięśnia sercowego. Stracił wszystkie swoje tytułarne przywileje, stając się z trudem tolerowanym samodzielnym pracownikiem naukowym bez własnego gabinetu. Nawiasem, jak można być samodzielnym pracownikiem naukowym, nie mając na czym siedzieć?! Ba! Nie mając nawet przy czym ani gdzie siedzieć! Ale w tamtej chwili wszelkie filozoficzne rozmyślenia nad bezsenssem życia tak ogołoczonego samodzielnego pracownika naukowego nie przychodziły mu nawet do głowy. No bo jak to wszystko się odbyło? Bardzo spektakularnie, to pewne. Po prostu: przyszedł do Instytutu w pewien poniedziałkowy dżdżysty ranek i na drzwiach swego gabinetu, biorąc za klamkę, odczytał napis „Magazyn części zamiennych”. Drzwi nie puszczały, a nigdy

ich na klucz nie zamykał. Napis był obcy. Przyszło mu do głowy, że w zamyśleniu pomylił piętra. Ale nie. Sprawdził raz jeszcze. Wszystko się zgadzało, za wyjątkiem tych drzwi. Był na „swoim” piętrze, krążył po „swoim” korytarzu... tylko te drzwi... obce drzwi. Jak wiele mogą zmienić jedne, martwe przecież, drzwi! Byłby to drugi temat do rozmyślań, niemal tytułowa strona książki, „Obce Drzwi”, gdyby mu w ogóle chciało się rozmyślać. Przeszedł się korytarzem, żeby tak nie stać jak ten głupi, tak na oczach mijających go, przemokniętych do nitki, strząsających obok wodę z parasoli pracowników i doszedł do jego końca. Tam, niespodziewanie, we wnęce rogowej, ujrzał stertę książek i papierów leżących na podłodze. Wydały mu się znajome. Schylił się. Faktycznie, były jego. Szuflad nigdy nie zamykał na klucz, więc na zdrowy rozum nie było czemu się nawet dziwić. A jednak... biurko widać było komuś przydatne, papiery nie. Szereg razy słyszał, jakoby zdarzały się podobne przypadki „wywłaszczenia” wśród bezpartyjnych pracowników naukowych, nie dawał jednak temu wiary. Bzdura, mówił zawsze, Partia nazbyt szanuje ludzi nauki. Poza tym, on był jak najbardziej partyjny, co więcej, zasłużony. Więc dlaczego? No tak. Ale przed dwoma tygodniami, również bez uprzedzenia i bez akceptacji, wywieziono mu z pracowni całą aparaturę służącą do eksperymentów na zwierzętach. I na dodatek nie wiadomo dokąd wywieziono. Przyjął to wtedy ze względny spokojem. Ostatecznie tematyka programowa w jego zakładzie dotyczyć miała wyłącznie człowieka, nie zaś zwierząt, więc po prostu postawili na swoim. Ale teraz?! Nie był obdarzony intuicją Dzidzi. Ona by dokładnie wiedziała, w którym momencie przekroczył tę delikatną linię, poza którą nie można już mieć własnego zdania. Poza tym, nie

zawsze w sposób właściwy odgadywał życzenia Partii. W tym też Dzidzia byłaby lepsza. Ale przecież to on był prorektorem z ramienia Partii, nie żona. Gdy się dowiedział, było już po czasie. Kilka tygodni temu, osoba protegowana przez wysokiego partyjnego działacza, opuściła jego gabinet bez słowa. I bez uśmiechu. A on nie tylko nie wiedział, czym ją dotknął, ale nawet nie zorientował się, że ją dotknął. A oferował jej wszelką pomoc (tak mu się przynajmniej zdawało): użytkowanie drogiej zagranicznej aparatury, wykorzystanie dwóch najlepszych laborantów, dodatkowy drobny sprzęt, fundusze... wszystko. Nie, nie wszystko. Nie zaoferował jej, że będzie za nią myślał. Że wymyśli temat pracy, zbierze piśmiennictwo do tej pracy, zaplanuje badania, dopilnuje wykonania, opracuje wyniki, a ona otrzyma już efekt końcowy i zaliczy tytuły. Dopiero *post factum*, gdy ktoś już inny okazał się bardziej domyślny, Feliks zrozumiał. Było już za późno.

Gdyby to było dzisiaj, ponad pół wieku później, można by nieporozumienie zwać na „Gender”. Brak wzajemnego zrozumienia między kobietą z ambicjami a niedomyślnym mężczyzną na stanowisku. Ona wymaga, on... tępak! Fajtłapa, jak podsumowała potem Dzidzia. Też niestety po czasie. Feliksowi pozostawało jedynie pogodzić się z konsekwencjami. Ustawowo, jako samodzielnego pracownika naukowego, nie wolno go było zwolnić, więc dalej mógł być. Ale co znaczy „być”. Być w tym instytucie: w bibliotece, na korytarzu, na schodach, w windzie, w toalecie... Dochodzimy do absurdu. Wołałby już nie być w ogóle... No i nareszcie: Partia zasugerowała wyjazd do Afryki. Czyż to nie rozwiązanie?! Będzie tam kierownikiem zakładu! Więc jakże się nie cieszyć, jakże nie być wdzięcznym?! Choć małżonce się nie spieszy i o Afryce inaczej nie mówi, jak tylko

„ta Afryka”, „w tej Afryce”, jakby mogła być jeszcze jakaś inna Afryka. Zdzisio, ich syn, też jest ukierunkowany konkretnie: „tata pamięta, żeby uzbierać na ten mój wyścigowy japoński.” Ukochana córka jedynie zadziwiła go, gdy przy pożegnaniu na lotnisku powiedziała:

– Tato, to wszystko, w czym ty żyłeś tutaj tyle lat, jest chore. Musisz się jakoś z tego otrząsnąć. My wszyscy musimy się z tej choroby wyzwolić.

Co ona chciała przez to powiedzieć? – zastanawiał się, siedząc już w samolocie. – Brzmiało, jak ostrzeżenie. O co jej chodziło?

Był rok 1978.